

ści. Brown nie był tchórzem, ale widząc, że podchodzi do niego, cofnął się w tył.

— Precz z rękami! — rzekł wydobywając nóż z kieszeni. — Jeśli się na mnie rzucisz, — będę się bronił.

— Grozisz mi? — zawołał Picard, z twarzą bladą z wściekłości. — Niedość, żeś mnie oszukał — chcesz mnie jeszcze nastraszyć. Oddasz patent czy nie?

— Nie, nie oddam.

— Brown, mówię ci, oddaj patent!

— Nie chcę. To moje dzieło.

Pericard skoczył ku niemu bezprzymiotny z wściekłości, z błyszczącymi oczyma i zaciśniętymi pięściami. Jego towarzysz wymknął się jego uściskowi, ale pchnięty na pakę, przewrócił się. Lampa zgasła i stodołę ogarnęła ciemność. Promień księżycowego światła, padający z wąskiej szczeliny błysnął na wielkich, poruszających się wciąż ruchem wahadłowym skrzydłach.

— Oddasz patent, Browne?

Nie było odpowiedzi.

— Czy oddasz?

I znów żadnej odpowiedzi. Cisza zupełna, jedynie tam w górze szum i warczenie. Zimne szpony trwogi i niepewności chwyciły za serce Pericarda. Szukał po omacku w ciemnościach i palce jego natrafiły na czyjaś dłoń. Dłoń ta była zimna i bezwładna. W jednej chwili gniew jego zmienił się w przejmującą dreszczem trwogę. Zapalił zapalniczkę, podniósł lampę i zaświecił ją.

Brown leżał rozciągnięty po drugiej stronie paki.

Pericard chwycił go obiema rękami i z konwulsyjnym wysiłkiem przeniósł ponad nią. I teraz tajemnica milczenia jego towarzysza wyjaśniła się. Upadł on na zgiętą w łokciu prawą rękę swoją i ciężarem ciała nabił się głęboko na własny nóż. Umarł, nie wydawszy jęku. Tragedja była straszną, nagłą i zupełną.

Pericard usiadł w milczeniu na brzegu paki, patrząc w ziemię przewróconymi oczyma i drżąc, jak w febrze, podczas gdy wielki motor Brown-Pericada warczał i huczał nad jego głową. Jak długo siedział tam, nie wiadomo. Może kilka minut, ale może i kilka godzin. Tysiące najszałęjszych projektów przebiegło przez jego skołataną głowę. Lepiej będzie uciec, niż oddać się w ręce władz, w poczuciu własnej niewinności. Nikt w Londynie nie wiedział o ich miejscu pobytu. Gdyby dało się usunąć zwłoki, zyskałby kilka dni na czasie, zanim zbudziłyby się podejrzenia.

Przywiódł go do przytomności głośny trzask. Bujający w powietrzu worek unosił się stopniowo coraz wyżej, za każdym okrażeniem, aż wreszcie natknął się na belki. Przy uderzeniu rozluźniły się spoidła i maszyna spadła ciężko na ziemię. Pericard odpiął pas. Motor był nieuszkodzony. Na jego widok przyszła mu nagle dziwna myśl do głowy. Maszyna stała mu się wstrętą. Mógł pozbyć się jej razem z ciałem w sposób, któryby uniemożliwił wszelkie poszukiwania.

Otworzył drzwi od stodoły i wyniósł towarzysza swego na światło księżycowe. Złożył go z czcią na szczycie małego pagórka. Potem przyniósł ze

stodoły motor, pas i skrzydła. Drżącymi rękoma włożył szeroki pas stalowy na zwłoki. Potem przyśrubował skrzydła. U dołu umieścił skrzynkę z motorem, przeprowadził druty i puścił przyrząd w ruch. Przez jakie dwie minuty ogromne, żółte skrzydła podnosiły się i opadały. Potem ciało zaczęło posuwać się po zboczu pagórka, nabierając stopniowo rozpędu, aż wreszcie wzniosło się w powietrze i poszybowało zwolna w świetle księżycowym. Nie użył steru, ale skierował przód maszyny na południe. Cudaczny przedmiot wznosił się stopniowo coraz wyżej, z coraz większą szybkością, aż wreszcie minął łańcuch skał przybrzeżnych i wydostał się nad spokojne morze. Pericard patrzył za nim z bladą, ściągniętą konwulsyjnie twarzą, aż wreszcie wyglądał już tylko jak czarny ptak z żółtymi skrzydłami, spowity w mgłę, która leżała nad wodami.

W nowojorskim, państwowym zakładzie dla obłąkanych przebywa człowiek z niespokojnie biegającymi oczyma, którego nazwisko i pochodzenie jest nieznane. Lekarze mówią, że stracił zmysły wskutek jakiegoś strasznego wypadku, ale nie mogą podać, co to był za wypadek. „To delikatny przyrząd, który łatwo traci równowagę” — mówią i dla poparcia swoich słów wskazują na skomplikowane maszyny elektryczne i pomysłowe przyrządy do latania, które pacjent lubi wynajdywać w chwilach przytomności.

Koniec.



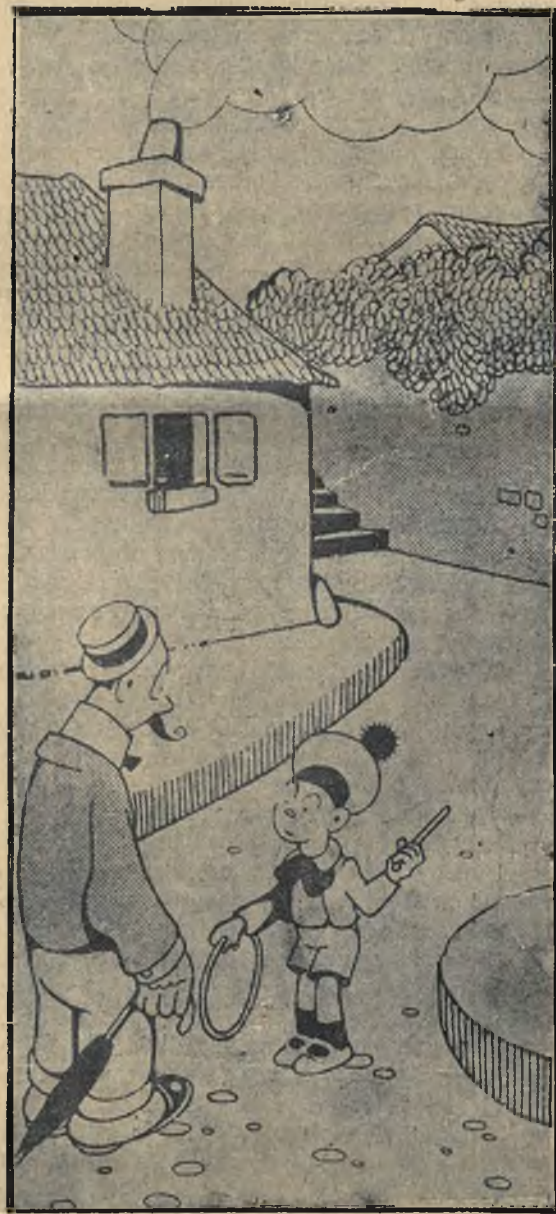
Polski Związek Twa Głuchoniemych. Zjazd delegatów i gości z Rzplitej Polskiej odbył się w Warszawie w dniu 1 i 2 stycznia 1925 roku, celem podpisania uchwały, statutu i przystąpić do związku.

Z filatelistyki.



Najnowsze wydanie węgierskich znaczków pocztowych z „Madonną”.

Humor.



Ojciec: A gdzie podziałeś te pięć złotych, co ci dałem?

Syn: Dałem takiej biednej staruszce, tu na rogu.

Ojciec: A co ona tam robi?

Syn: Sprzedaje cukierki!

**Żądajcie „Nowości Ilustrowe”
w kawiarniach i restauracjach!**